

Warszawa, dnia 7 (19) Stycznia 1870 roku.

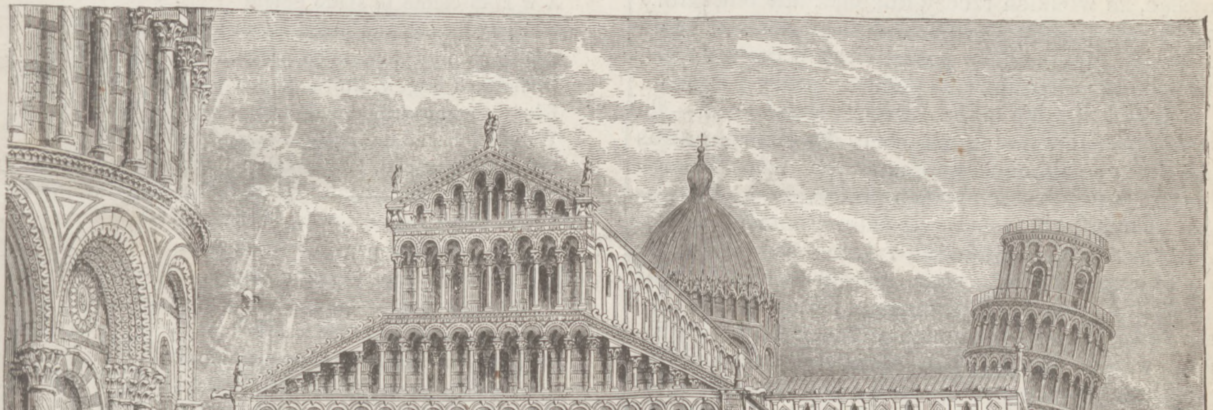
№ 3. | Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie. Cena na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie. **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla panów Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, gdzie także urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji.—*W Poznaniu* u Leitgebera, we *Lwowie* u Wilda Karola księgarza. | Rok VI.

TREŚĆ — Stowarzyszenie spożywcze w Warszawie.—Do strzechy, poezya Wincentego *Pola.*—Katedra i dzwonnica w Pizzie (z drzeworytem), przez Jana *Prusinowskiego.*—Skarby w stodole, zdarzenie prawdziwe z życia wiejskiego (dokończenie), przez *Autora Kłopotów Starego Komendanta.* — Nowy piecyk do palenia kawy (z ryciną), przez Jana *Pietraszka.* — Wiadomości techniczne. — Gaszenie palących się tłuszczów i żywic, przez J. B *Rogojskiego.* — Humoreska. W więzieniu (z drzeworytem). — Rozmaitości.— Myśli i zdania.

Stowarzyszenie Spożywcze w Warszawie.

Stowarzyszenie to powinno mocno obchodzić czytelników *Opiekuna.* Ma ono za główny cel oszczędność na głównych artykułach życia. Stowarzyszenie nie płaci za utrzymanie właściciela sklepu, i cała ta część dochodu sklepowego idzie na stowarzyszonych w postaci dywidendy, czyli stanowi zysk stowarzyszonych, obdzielany pomiędzy nich w stosunku do tego, za ile zakupili w sklepach stowarzyszenia. Obecnie członków jest przeszło 1200. Jak na Warszawę dość mała to liczba, a i z téj zapewne jakaś cząstka ubędzie.

U nas bo od stowarzyszenia wymagają kolosalnych rzeczy. Chcieliby, rozumié się niektórzy jéj członkowie, aby towary oddawano za darmo, albo na pół darmo. Jak znajdą te same ceny co gdzieindziéj, powiadają: a to ja téj łaski u pierwszego lepszego żyda dostanę. Inni zrażają się, jeżeli czasami dostaną jakiś towar cokolwiek wątpliwéj dobroci, ale nie pamiętają o tém, że gdzieindziéj może to czasami bardzo się często powtarzało. Ale na to stowarzyszeni nie zważają. Gdzieindziéj jak kupią masło łojowate lub kaszę wilgotnawą, to mrukną sobie tylko i na drugi raz kupią w témże samém miejscu. W stowarzyszeniu, broń Boże—zaraz krzyki, zaraz wymówki, zaraz zaperzony członek przybywa żądając wykreślenia. Podług nas takich członków należałoby zaraz wykreślić; — gdyż źle każe



Katedra i Dzwonnica w Pizzie. (Do stronnicy 23-éj) Drzeworyt, który wydawnictwo *Opiekuna* zawdzięcza bezinteresownéj pomocy p. Gustawa *Senewalda*, wydawcy dzieła *„Kartki z Podróży”*

tuszyć o sobie ten, kto nie ma wyrozumienia i zrozumienia rzeczy.

Stowarzyszenie to jest pierwszem u nas; nie mamy praktyki, jaką mają inne ludy przyzwyczajone do stowarzyszenia; u nas musi się wszystko wyrabiać; trzeba nieraz po omacku stąpać, zanim się do jakiego światełka dobrnie. Stowarzyszenie postawiło w swym zarządzie ludzi zupełnie nieobznajmionych z handlem; — są tam urzędnicy, literaci, budowniczowie, ale kupców nie ma. Ci z kupców, którzy zostali wybrani,—cofnęli się od udziału w zarządzie, nazywając całe stowarzyszenie mrzonką, a w istocie nie chcąc rywalizować z swoimi towarzyszami w rzemiośle. Zostali się ludzie zupełnie z handlem nieobznajmieni. Ci musieli się uczyć i uczą się dotychczas abecadła kupieckiego; macają, że tak powiemy, rzecz całą; szukają dróg handlowych, których im nikt z fachowych kupców z pewnością nie wskaże. Nic więc dziwnego, że ci nowicjusze kupieccy postępują powoli, lękając się narazić stowarzyszenie na straty; nic dziwnego, że zarząd może czasami robić błędy, którychby nie dopuścił się nigdy wytrawny kupiec. Zarząd robi to, co może, co umie, stara się uczyć, nie żałuje trudów—ale potrzebuje poparcia, potrzebuje wyrozumienia. Nie ten robi dobrze, który za pierwszym gorszym funtem masła, opuszcza stowarzyszenie myśląc, że wielkich rzeczy dokonał, ale ten, który widząc złe podaje środki zaradcze, wykazuje, gdzie co taniéj kupić można, pośredniczy w tym zakupie, przychodzi zarządowi z pomocą, radą i czynem. Ale takich bardzo mało. Krzyczą z za węgła,—ale otwarcie nikt wystąpić nie chce. Powiadają: u was jest drogo,—ale na zapytanie co jest u nas drogo— i gdzie taniéj dostać można, nie znajdują odpowiedzi. Zarząd nie ma prawie żadnéj pomocy ze stowarzyszonych. Z początku rwano się do dyżurów, do obliczań, do znaczenia marek;—dziś doprosić się żadnéj pomocy nie można, i ledwie kilkunastu ludzi dobrego rozumienia rzeczy wspierają zarząd w jego borukaniach się nietylko z nieprzyjaciołmi stowarzyszenia, ale i z jego samego uczestnikami. A otwarty nieprzyjaciel jest lepszy od tych niby współtowarzyszy w jednéj pracy, gdyż od pierwszego, tylko złego spodziewać się można, a od drugich poparcia żądać, jest prawo przynajmniéj moralne.

Stowarzyszenie jest w zawiązku, istnieje ono dopiero pierwszy rok; stowarzyszenie musi się umacniać, musi wzrastać, musi dojrzewać. Dziś jest jak niemowlę, od którego trudno żądać rozkwitu, żądać pełni sił i potęgi. Stowarzyszeni powinni prawdziwie macierzyńską miłością otaczać to swoje własne dziecię, powinni je strzedz, powinni torować mu drogi, powinni je miłować i ze wszech swych sił starać się o zapewnienie mu świetnéj przyszłości. Nie odrazu Kraków zbudowano, nie odrazu można być doświadczonym; do wszystkiego potrzeba czasu i wytrwałości. Ale u nas tak zawsze; zapalamy się jak zapałka gwałtownie, zabłyśniemy świetnie i gaśniemy za lada wiatru powiewem. Dźwigać coś stale choć umiarkowanie; popierać wytrwale, zrozumiéć rzecz gruntownie— to przechodzi siły nasze, a raczéj przewyższa chęci nasze. Zapisało się na początek dosyć członków, ale zapisało się nie z istotnéj potrzeby poczucia téj instytucji, ale ot tak — dla mody, dla tego, że się brat lub swat zapisał. Dziś, ze znacznéj liczby członków pociechy nie ma żadnéj, figurują tylko na liście stowarzyszonych. Ale nie kupują ani w sklepach stowarzyszenia, ani nawet rat zaległych opłacać nie myślą. Przy takim stanie pojęć u stowarzyszonych należałoby wątpić o losach stowarzyszenia, gdyby nie ta garść stowarzyszonych, dobrze rozumiejących znaczenie téj instytucji i stale a serdecznie popierających stowarzyszenie, które tém świetniéj rozwijać się będzie, im rychléj pozbędzie się z swego grona wiecznych malkontentów, ludzi żądających gruszek na wierzbie, i tych wszystkich, którzy nie rozumieją ani świata, ani okoliczności wśród jakich żyją.

DO STRZECHY.

Omszona strzecho na rządnéj zagrodzie!
Jakże ci pięknie wśród tych drzew i sadu,
Jakże ci pięknie w ziemi i narodzie,
Gdyś na świadectwo domowego ładu.

Jakże cię miło pełném sercem witać,
Kiedy się oczom ukażesz z daleka,
Jakże cię miło o twe dzieje pytać,
O losy wioski i losy człowieka.
Gdy dym z ogniska twego się zakłębi
I w słońcu słupem ku niebiosom bieży,
A w koło ciebie to stado gołębi
W skrzydła ochotne przed lotem uderzy,
Cóż to za urok domowego progu,
Domowych bogów, które władną w ciszy,
Kiedy się znowu podobało Bogu
Wrócić i zastać dawnych towarzyszy.
Omszona strzecho, ty przytułku Boży
Rodzinnych węzłów pracy i pokoju!
Czego przed tobą człowiek nie przysporzy,
Za tém napróżno pogoni wśród znoju.
I biada temu, kto się puścił strzechy
I błądzi światem w burzy i zamieci,
Komu ognisko takie nie zaświeci
Ani pozdrowią tak wdzięczne uśmiechy.
Omszona strzecho, ty darem żywota
I darem chleba i darem miłości
Darzysz człowieka i prosta twa cnota
Nawet za tobą drogi życia prości.
Do ciebie pierwszéj z dobrą wieścią wiosny
Spuszcza się bocian i na gniazdo siada,
Pod tobą pierwsza jaskółka zapada
Kwiląc o świcie pierwszy śpiew miłośny.
I kiedy bocian z gniazda zaklekoce
A nad powałą ozwie się jaskółka
To i na przyzbie dziatwa już świegoce,
I drób szerszego szuka dla się kółka,
I ludzie w sercu noszą się z pociechą,
Że im przybyło mieszkańców pod strzechą;
Że bocian z kmieciem jedno gniazdo dzieli,
Że oko lotem jaskółka weseli;
Bo już i pszczoły, co się zimna strzegły,
Oczka po ulach do koła obległy;
I kiedy cicho mignie swawolnica
Pasem świecącym po węgle łasica,
Więc i króliki, co się w norach rodzą,
Z pod przyzby w sadek nieśmiało wychodzą.
Bo cicha strzecha, to arka przymierza,
I co domowe to się pod nią tuli,
I jak człek wierzy, tak i jéj dowierza,
Wszystko od ptactwa aż do biednych króli.
Wszystko to wszystko w zgodzie z sobą stoi,

Bocian odchowa pisklęta przed jazdą,
Jaskółka nowe ulepi znów gniazdo,
Pod wschodnią strzechą pszczoła się wyroi;
I kiedy zamieć rzuci znowu śniegiem,
To wróbel tylko pod strzechą przypada,
I pies na przyzbie tylko się układa,
A dziatwa siada przy ogniu szeregiem.

Cóż to za urok miewa to ognisko,
Kiedy oświeci te rumiane twarze,
Gdy cię sadowią koło siebie blisko,
A pies na przyzbie trzyma nocne straże,
Jakżeś bezpieczny i jakże do razu
Przystajesz sercem do téj ciepłéj strzechy,
Gdy cię witają ogniska uśmiechy
I twarze pełne ludzkiego wyrazu!
Cóż to za urok miewa to światełko,
Kiedy ci mignie w zamieci zimowéj,
Naprzód z kaganka przez zamdlone szkiełko
Na nagim stepie albo od dąbrowy!
Na widok jego tobyś leciał ptakiem;
Ale tu rowy, okopy i płoty,—
Więc macaj drogi i objeżdżaj szlakiem,
Aż gdzieś odszukasz wsiowe kołowroty.
Światełko znikło pies tylko ujada,
Zaspy jak szańce, wicher groźnie wieje,
Więc pytasz siebie: czy nikt tu nie żyje?
Czy się nie znajdzie dla zbłąkanych rada?
A w tém z pod zaspy przeciągle i głucho
Pieśń się zmieszała z nocną zawieruchą;
Więc słuch wytężasz i zziębłą źrenicę:—
A tu pod zaspą nucą wieczornice,
A pies od zaspy z bliska już ujada
Aż nagle światło tuż przez drzwi wypada
I aniś myślał, że tak bardzo blisko
Znajdzie się strzecha—a pod nią ognisko.
Spojrzysz po chacie—a tu niby łątki
W koło ścian białych siedzą kraśne prządki
I pieśń ucichła, ale zasromane
Patrzą ciekawie te twarze rumiane.

O niech Bóg w łasce każdemu, co błądzi
Taki przytułek po burzy przysądzi,
Gdzieby wypoczął po latach strudzenia
I port bezpieczny znalazł dla sumienia;

. . . .

Wincenty Pol.

KATEDRA I DZWONNICA W PIZZIE.

Pizza, jest głównem miastem prowincji tegóż nazwiska, która skutkiem wypadków lat ostatnich weszła wraz z Toskaniją w skład królestwa Włoskiego. Monografja Pizzy, gdybym miał zamiar ją pisać, ułożyłaby się podług programmu, niezbędnego dla wszystkich niemal miast włoskich. Zaczęłaby się od staréj, grecko-rzymskiéj legendy, daléj potrącilibyśmy o jakieś tradycje plemion latyńskich, które następnie zlały się w groźną Rzeczpospolitą Rzymską, potém poszłyby boje i edykty Cezarów, krwawe ślady najazdów barbarzyńców, i znowu wojny domowe miast włoskich, zapasy Gwelfów i Gibelinów pod zaborczym wpływem cesarzów Germańskich, obok ożywionego handlowego ruchu z przypływu bogactw; aż na koniec, jakby dla urozmaicenia jednostajnego obrazu, doszlibyśmy do perjodu rozkwitu sztuk, pozostałych w szacownych pomnikach architektury, rzeźby i malarstwa; przesunęłyby się przed nami poważne cienie tych mistrzów piękna, i nierozminęlibyśmy się ze wspomieniem Dantego, Ariosta, Galileusza lub innych mistrzów słowa i nauki, a wszystko to, jak na tle barwném, rzucone byłoby na czarowne brzegi Środziemnego morza pod jasném niebem Italji!

Lecz mając tu ograniczyć się jedynie opowiedzeniem o trzech pomnikach architektonicznych Pizzy, które przedstawia drzeworyt, przytoczę fakta historyczne o tyle tylko, o ile lepsze zrozumienie tych dzieł sztuki wymagać będzie....

Polityczna niezależność Pizzy, jako oddzielnego państweczka, z formą rządu republikańską, rozpoczęła się w końcu IX wieku i trwała przez całe dwa następne stulecia. Kolejno, drogą podboju lub nadań papieskich, zawładała Korsyką, częścią Sardynji, Palermo, wyspami Balearskiemi i wyspą Elbą. Przewagą swojéj żeglugi, pozyskała ważne przywileje handlowe, nie tylko w Konstantynopolu, ale w Antjochji, Trypoli i Tyrze.

Trzymanie się jednak Gibelinów, to jest partji cesarzów niemieckich, przyprawiło ją o upadek i przodkując czas długi pod względem handlu, bogactw i powagi politycznéj, innym miastom włoskim, zniszczoną została i zbezwładnioną przez Gwelfów, głównie przez Genueńczyków, którzy zagarnęli znaczniejszą część jéj posiadłości; aż na koniec, po różnych niefortunnych kolejach, sprzedaną była w roku 1405 przez ówczesnego władcę swego Gabrjela Galeaza, Florencji.

W czasach jednak swojéj potęgi, Pizza użyła nagromadzonych bogactw, na wzniesienie gmachów, które do dziś dnia wzbudzają powszechny podziw i uwielbienie.

Po zdobyciu Palermo na Saracenach, w dziękczynnéj ofierze za zwycięztwo nad niewiernymi, założoną została w roku 1063 katedra, podług planu budowniczego *Rajnaldus*. Gmach ten, cały z czarnego i białego marmuru, na czterech górnych piętrach facjaty ma pięćdziesiąt cztery kolumn, które odsunięte od ścian, tworzą przejrzystą galerję. Możemy więc łatwo wyobrazić sobie wspaniałość widoku, przy łamaniu się gry światła i cieni, po tych białych i czarnych pasmach marmuru. Wnętrze świątyni, mające takież tło marmurowe, i rozdzielone w podłuż na pięć, a wszerz na trzy nawy, wspiera się na siedemdziesięciu czterech kolumnach, wziętych po większéj części z budynków staro-rzymskich. Wysokość naw, szczególniéj środkowéj, jest ogromna. Kapitele kolumn téj ostatniéj nawy, łączą się pół-kulistemi arkadami, po nad któremi przechodzi gzéms i roztwierające się arkady tworzą galerje a w nich loże, umieszczone nad nawami pobocznemi, zwracają się na nawę środkową. Galerje te, nad prezbiterium zbiegają się jakby w most marmurowy, zawieszony w wysokości. Na skrzyżowaniu naw, wznosi się owalna kopuła, uważana przez znawców, za genjalny pomysł sztuki architektonicznéj.

Katedra ta jest zarazem zbiorem wielu pomników sztuki. W liczbie innych, pokazują tam lampę, która wahaniem swojém, miała podać dziewiętnastoletniemu Galileuszowi pierwszą myśl tych astronomicznych spostrzeżeń, które późniéj kosztowały go tyle osobistych cierpień, na tryumf nauki.

Obok katedry, widzimy dzwonnicę, umieszczoną w wieży pochylonéj. Zbudowali ją w roku 1174 *Bonannus* z *Pizzy* i *Wilhelm* z *Insbrucka*. Gdy budowa doprowadzoną była do połowy, grunt bagnisty usunął się i wieża pochyliła się przeszło na stóp 12.

Zdawałoby się, że wypadek ten powinien był zatrwożyć budowniczych i odjąć im ufność fundatorów. Stało się jednak inaczéj.—Zbadawszy dobrze grunt, przekonano się, że więcéj nie ulegnie usunięciu, śmiało więc prowadzono budowę daléj, podług pierwotnego planu; i wieża na 142 stóp wysoka, dźwiga przez siedm wieków, tyleż olbrzymich dzwonów, bez żadnego więcéj uszkodzenia. Pochylenie to początkowo, przydało budowie pewną oryginalność, nie nadwerężając jéj piękności. Cała okrągła, równie jak katedra z białego i z czarnego mamuru, o ośmiu piętrach prowadzi wewnętrznemi wschodami na szczyt, z którego otwiera się czarowny widok na miasto i morze. Patrząc zaś z najniższego piętra w górę, przez tę okrągłą szyję wieży jak przez lunetę, widzieć się daje tylko okrągły listek nieba niby owe okienko, przez które mitologiczni bogowie spoglądali na ziemię.

Trzeci pomnik, który tylko w części ukazuje się po lewéj stronie drzeworytu, jest tak zwane *Baptisarium*, czyli Chrzcielnica. Forma tego gmachu, wzniesionego przez *Diotisolvi*, w roku 1153 jest okrągła; dolne piętro spoczywa na kolumnach korynckich. Drugą kondygnację, otaczają kolumny niższe, odskakujące od ściany i tworzące jakby galerję. Daléj nad arkadami wznoszą się szczyty gotyckie, strojne w gotyckie figury. Powyżéj jeszcze atyka, z oknami sklepionemi okrągło i znowu gotyckie upiększenia. A wszystko to nakrywa kopuła, w kształcie tureckiego zawoju. Wnętrze, wsparte na czterech filarach i ośmiu kolumnach, zwraca głównie uwagę amboną dłuta sławnego *Mikołaja Pisano*, ubarwioną rzeźbami na pięciu jéj ścianach.

Kończąc ten pobieżny przegląd, przychodzi mi dodać, że czwartym pomnikiem Pizzy, jest cmentarz, czyli tak zwane *Campo Santo*, które potrzebowałoby szczegółowego sprawozdania. Wiedzmy także, że przy drodze żelaznéj z Pizzy do Lukki o milę drogi od miasta, u stóp góry apenińskiéj, zwanéj *Monte Pisano*, znajdują się mineralne źródła i urządzone są leczebne kąpiele, nietylko ze wszystkiemi dogodnościami, ale nawet z pewnym przepychem. Chorzy, którzy z nich korzystać muszą i mogą, oglądać mogą zarazem te piękne dzieła sztuki, znane nam tylko z drzeworytów i opisów, podróżujących znawców.

Jan Prusinowski.

SKARBY W STODOLE.

ZDARZENIE PRAWDZIWE Z ŻYCIA WIEJSKIEGO,

przez

Autora kłopotów Starego Komendanta.

(*Dokończenie*, patrz Nr. 2-gi).

— Może było tego ze dwa garnce...

— Ale dwa garnce—przewała Wolińska, stara dójka ze dworu—było dobrze pół ćwierci; uginałby się to tak pod dwoma garncami; a to, moiściewy, dziadzina ino stękał a stękał.

— Jak on to ta schował, że nie znalazł kto wprzódy?

— Ale miałci ta znaleść, kiedy to dół po pas— wtrącił ławnik kiwając głową. Na dobrą sprawę to powinien oddać połowę na gminę.

— Juści, na gminę?—krzyknęła Tomaszowa, matka żony Franciszka—wracając ze stodoły i niosąc z tryumfem bieluteńkiego rubla. —U was to wszystko na gminę...

— Toć to prawdziwy rubel!—zawołali wszyscy, macając przyniesiony pieniądz! Coż to, zostawił?

— Upuścił widać—mówiła Tomaszowa rozogniona, alež to dół wykopał... niech go...

— Ba chcielibyście, żeby ćwiartka rubli — zmieściła się jak w garści...

— Musi dać na gminę—powtarzał ławnik, radząc ze starszymi gospodarzami na boku,— takie widzicie jest prawo... pisarz nam czytał, że ten co znajdzie pieniądze...

— Nie doczekanie wasze!—woła, słuchając na wszystkie strony, Tomaszowa—Nie ma on to dzieci? A cóż to, znalezione cudze, czy to nie swoje?...

— Psujta sobie język psujta—mówi z powagą ławnik—Czy go to wasza nie wypędziła z chałupy, co?

— A bodajeście wy nie doczekali jutra, jak to prawda jest! — zawołała Tomaszowa, rzucając na ławnika zabójcze spojrzenia—Patrzcie go, jaki mądrala! Już myśli, że jak mu *mendal* zawiesili...

— Świarczę się wami gospodarze, jako ta kobieta, co się zwie Tomaszowa Pazdyczyna —mówi z powagą ławnik — wygrażała mi się, żebym jutra nie doczekał— pamiętajta gospodarze na środę do kancellarji... I zawróciwszy do chałupy, zostawił całe grono rozmawiających na ulicy. Tymczasem nadszedł pachciarz miejscowy, a zarazem tajemny propinator.

— Co to, srebrny rubel Tomaszowo?

— A juści — odrzekły kobiety.

— Dajcie ja wam zmienię — pokażcie no... dam wam siedm złotych...

— Ale siedm, w mieście płacą pół dziewięta.

— Ny, to nie taki oberznięty... dam pół ósma i kwaterkę wódki...

Ta kwaterka skutecznie podziałała na wszystkich, bo ruszając się powoli, tak niby niechcący cała gromada znalazła się w karczmie. Dopieroż zaczęły się rady. Stary Andrzéj pokazało się, że to był najlepszy człowiek w świecie. A nie gadałam mojéj Józce— krzyczała na całe gardło Tomaszowa — żeby tego starego szanowali jak się patrzy,— miarkowałam ja, że on tam musi mieć grosze — i na mojém się stało. Ale to młodzi, pstro w głowie... mają teraz!

— A toć gotów oddać na kościół! — wtrąciła jedna.

— Eh coby tam miał dawać na kościół,— no pewnikiem zaniesie do córki, na kolonisją...

— A jakże do córki?—on by zaraz przepił...

— Kto?

— A juść jéj chłop, bo to słyszę okrutnie się rozbałamuciło. Podobno go aż do Wójta sprowadzali, bo jak przyjedzie na targ, to trzy dni go nie ma... pije po karczmach a konisko stoi na mrozie...

— Ja by tam tego nie dopuścił— mówi chudy gospodarz, trzymając kieliszek w ręku;—napić się

to napić, ale o bydlęciu trza pamiętać. Cóż mu winno to nieme stworzenie Boskie?

— Takie to już mają serce niektórzy...

— Komu on też da te ruble?

— Komu?—spytała Gralowa—a juscić dzieciom. Bo któż mu bliższy jak nie syn?

— Ale kiedy się pogniewali!

— Bajka; co się pogniewali, to się przeproszą. Tomaszowa, Tomaszowa—zawołała, szukając jéj w alkierzu, gdzie właśnie odbywała się rada z córką, mężem i krewniakami. Co mi dacie, to ja wam starego sprowadzę.

— Oj, żebyście to mogli, tobym was ozłociła, moja Gralowa..

— Jak nie zechcę, to jutro u was będzie, ino co dacie?

— Dwa garnce wódki..,

— Mało.

— To trzy...

— Niechże będzie trzy jutro, a dziś garniec.

— Do was Tomaszowa na to szczęście....

Kiedy sobie tak w karczmie pili i radzili, stary Andrzéj zajadał w najlepsze obiad u proboszcza i widać było po jego rozweselonéj twarzy, iż kontentował go ten harmider we wsi. Proboszcz również zacierał ręce, wyglądając co chwila poselstwa od syna.

Jakóż ku wieczorowi wsunęła się nieznacznie do kuchni Gralowa.

— Cóż tam powiecie Mateuszowo?

— Nic proszę jegomości—przyszłam oto pożyczyć przetaka od pani gospodyni, bo mój jakoś mi się podarł, a podsiewanie pilne...

Ksiądz chodził po kuchni z miną dziwnie uśmiechniętą, a kobieta wziąwszy przetak nie myślała o wyjściu.

— Z przeproszeniem jegomości—rzekła, kłaniając się do nóg proboszcza—czy też to prawda że stary Andrzéj jest na plebanji?

— Prawda!

— I że pono ma się zgodzić za dziadka kościelnego?

— I to prawda—rzecze ksiądz poważnie....

— No no, toć ludzie dobrze gadali we wsi, a biedna Frankowa to chyba się teraz powiesi...

— Dla czegóż to, moja Gralowo?

— Bo widzi jegomość cała wieś na nią kwoczę, że starego wygryzła z chałupy, że on co im oddał całe gospodarstwo, na starość musi iść na chleb proszony...

— Ale nie wymówiony—wtrącił proboszcz.— I kościół potrzebuje usługi, i dziadek kościelny za darmo go jeść nie będzie, a synek patrząc co niedziela na ojca, niech widzi jaka go czeka przyszłość; co zasiejesz, to ci urośnie, mówi pismo Boże...

— Oj prawda to, święta prawda, rzeknie Gralowa. Jegomość to jakby ojciec całéj wioski, ino to ludzie niegodziwi... Ona też, boć to ona temu winna, o mało gdzieś się nie podzieje, a stara Tomaszowa jéj matka, to ją i zbiła dzisiaj, aż strach...

Uśmiechnął się nieznacznie proboszcz, patrząc z ukosa na Gralową, która widząc, że ją słuchano, mówiła daléj.

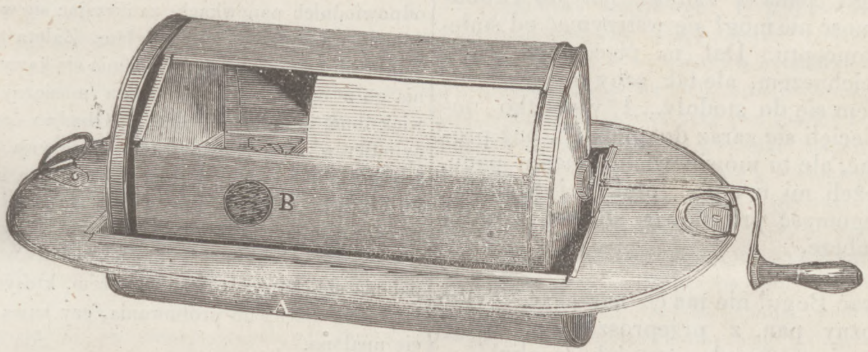
— Żeby to z przeproszeniem jegomość chcieli, toby i téj obrazy Boskiéj nie było, a Frankowa toby się na niewiedzieć co zaprzysięgła, że więcéj staremu ani słówka przykrego nie rzeknie...

— Alboż to odemnie zależy, moja kobieto?...

— A od kogóż jak nie od naszego ojca? Na jegomości słowo Andrzéj wróciłby do chałupy; Franek chce mu oddać całe gospodarstwo, aby u niego zostać parobkiem. A ona, to nie przymierzając, jak jaka służąca... albo dziewka.

— Na długo?

— Dopóki by tylko Bóg im żyć dozwolił...



Nowy piecyk do palenia kawy (Do str. 26-éj).

— No, zobaczę ja zobaczę, pogadam ze starym.

— Mój złocisty jegomościuniu, mówi, kłaniając się do kolan. Boć naprawdę ten przetak to było ino przymówisko, a Tomaszowa posłali mię z prośbą do jegomości.

— Widzisz moja kochana, rzekł ciszéj proboszcz, ja nie obiecuję, ale niech przyjdą tu wszyscy, starego przeproszą, to kto wié.

Wybiegła zaraz uradowana baba, a za chwilkę wszystko troje, to jest syn, synowa i Tomaszowa plackiem już leżeli u nóg Andrzeja. Zaczęły się prośby, molestowania, płacze, i inne historje, i tak, że stary, jakkolwiek gorzko się uśmiechał, jednak dał się przeprosić i przyrzekł powrócić do swego domu.

— Moi kochani, rzekł po chwili, nie będę ja wam zawadą w chałupie: aby spokojny kącik, aby łyżkę strawy, to ja za to odrobię z procentem.... Bóg daje zdrowie, to dopóki święta ziemia nosi, zapracuję na swoje potrzeby. Toć i córkaby mię nie wypędziła, ale gdzie człek urosł z maleńkiego, to i tam by głowę chciał złożyć.... Jednakowoż bieda nauczyła rozumu: i przy świadkach zapowiadam, że jeżeli mi czém bądź okażecie jakąś nieżyczliwość, to pójdę sobie z Bogiem. U księdza plebana oto tego, mam grosik niewielki, będzie mi dobrze to nie ruszę, a po

śmierci dostaną ci którym zapiszę. Będzie źle to dziéj się wola Boża...

— Zawszeć ja mówiła, rzekła Gralowa po tysiącznych zapewnieniach ze strony syna i synowéj, że stary Andrzej to szczere złoto i pamiętajta, że palec Boży wisi nad wami jeżeli go szanować nie będziecie.

— Amen, dorzucił pleban, żegnając pogodzonych włościan.....

III.

Będzie temu ze trzy miesiące, jak znowu na jarmarku spotkałem, Andrzeja. Anim mógł poznać starego; odmłodniał o jakie lat dziesięć, a przyodziewek na nim schludny, — kapota nowa, buty nowe, — wózek na którym przejeżdżał jakby jaka bryczka szlachecka...

— Cóż to, Andrzeju — rzeknę ściskając rękę starego, — widzę dobrze idzie?

— A niech wielmożnemu panu Bóg da stokrotne zdrowie — odrzekł z miną wesołą całując mi rękę.

— No i jakże?..

— Wszystko przeszło jak najlepiéj. Jakem był u Wielmożnego pana i zaniósł list do Proboszcza, to Jegomość nie mógł się wstrzymać od śmiechu z tego konceptu. Dał mi pięćdziesiąt rubli srebrem i ja cichaczem, ale tak żeby mię kto widział, wsunąłem się do stodoły... I wszystko poszło dobrze: zlecieli się zaraz do plebanji, nuż prosić, nuż błagać, ale to mówię wielmożnemu panu, że plackiem leżeli mi u nóg... płakali i płakali... aż w końcu jegomość przemówił słówko i wszystko poszło dobrze.

— A teraz jak idzie?

— Dziękować Bogu! nie ma co narzekać. Tylko widzi wielmożny pan, z przeproszeniem, długi czas sumienie mi wyrzucało, żem ich oszukał.

— Eh! mój kochany, przerwę mu, niech to będzie kara dla złych dzieci.

— Prawda to, wielmożny panie, ale zawsze to oszukaństwo.. To też niech się wielmożny pan nie gniewa.... tego.... ale poradziłem sobie?

— No, jakżeś sobie poradził? pytam ciekawy i zawstydzony tak uczciwém pojęciem Andrzeja, który usłuchawszy méj rady czuł jednak, że było to pewnego rodzaju oszukaństwo swych dzieci...

— Powoli, widzi W-ny pan wziąłem wszystko napowrót w swe ręce: próżniactwo z chałupy wypędziłem, karoliny fort, rękawiczki fort... a pokazało się, że Frankowa nie jest tak złą kobietą jak głupią. Z początku bojąc się utracić téj summy, u proboszcza niby złożonéj, ustępowała; ale po trochu widząc, że gospodarstwo lepiéj idzie, a na polu dzięki Bogu ładnie i w stadzie i w oborze pełno, i na wszystko jakoś wystarcza, otworzyła oczy naprawdę i wciągnęła się do roboty jak się patrzy. A ja rozrządzając wszystkiém, ciułam grosz do grosza i przez te dwa lata złożyłem do księdza proboszcza okrąglutkie sto.... szepnął stary poprawiając czapkę.

— Jakto już sto złotych...

— Nie z przeproszeniem Wielmożnego Pana, ale sto rubli...

— Bój się Boga! i tyś tyle zebrał?

— Jakoś się uciułało, a jak Bóg da pożyć, to na jesieni dołożę pięćdziesiąt... No to już będą mieli summy, prawda? A wszystko to srebrem, jak było niby...

— Zacny ty jesteś Andrzeju! zawołałem całując starego serdecznie. Niech ci Bóg dopomaga, a ja ci zaręczam że ani ja, ani proboszcz o naszém podejściu słówka nie piśniemy.

— Ale ja wielmożny panie do grobu zaniosę wdzięczność wielmożnemu panu, że jednem słowem, mądrą radą, powrócił dom staremu i nauczył dzieci pracować uczciwie. Bez tego wszystkoby w marność poszło.

Nowy piecyk do palenia kawy.

Już przecież przestaną dzisiaj narzekać gospodynie domu, kucharki i chłopcy po handlach na niedogodność dzisiejszych piecyków do palenia kawy. Najważniejszemi niedogodnościami są: częste przepalenie się kawy w jednéj części piecyka a niedopalenie w drugiéj, lub zupełne przepalenie się jéj, — nadto nieodstępne posmolenie rąk i odzieży. Otóż tym niedogodnościom zapobiega piecyk amerykanina *Whitory*, jak go drzeworyt przedstawia. Piecyk ten składa się z dwóch części: z właściwego piecyka, mającego kształt ośmio-scianu podłużnego, z dwoma czopami i korbą do obracania, oraz płyty z korytkiem. Piecyk osadza się na odpowiednich panewkach, zanurzając się w płatę opatrzoną uchami i korytkiem półokrągłém. Zaletą tego piecyka jest ciągła obserwacja postępu palenia się kawy, bez zdejmowania go z ognia. Cylinder bywa mosiężny lub z jakiéjkolwiek innéj metalicznéj blachy. Obadwa czopy, na których cylinder w swoich panewkach spoczywa, nie są w samym środku umieszczone, dlatego, aby ziarna kawy i w kierunku długości cylindra, przewracać się mogły. Płyta *A* chroni cylinder czyli piecyk metalowy od zbytecznego gorąca. Szkiełkiem okrągłém *B* można obserwować ciągły postęp palenia się kawy; *C* jest otworem, którym wyjmują się z łatwością ziarna do próbowania, czy kawa jest już należycie upalona. *Jan Pietraszek.*

Wiadomości Techniczne.

— **Gaszenie palących się tłuszczów i żywic.** Środkiem bardzo prostym do gaszenia palących się tłuszczów i ciał żywicznych jest gęsta siatka metalowa. Oprawiona w ramy blaszane i przechowana w pobliżu ogniska, używanego do topienia ciał łatwo zapalnych, aby ją zawsze pod ręką mieć można, służy daleko lepiéj niżeli piasek lub glina. Pracując przed dwoma laty w Galicji wschodniej nad naftą surową czyli taką, jak z ziemi czerpaną zostaje, miewałem przez pękanie naczyń szklannych nadzwyczajnie częste, nietylko dla mnie i dla mego pomocnika, ale dla całego domu i dla sąsiadów niebezpieczne przypadki. Niemiła woń wyrobów, otrzymywanych z różnych części nafty i ciągłe niebezpieczeństwo silnego opieczenia się zniechęciło wszystkich moich pomocników tak, że nawet bardzo hojném wynagrodzeniem nie mogłem zjednać sobie ich pomocy. Zachęcona dobrą zapłatą i bardzo odważna jedna dziewczyna, włościanka, zdecydowała się pomagać mi. Nie mogąc znieść jednoczesnego upału lipcowego i żaru promieniejącego od przenośnego pieca żelaznego, który był rozgrzany do czerwoności, nakrywała twarz dużém sitem, które się przypadkiem znajdowało w ogrodzie i miejscu naszych doświadczeń. W jednéj chwili mięszanina mocno grzana zaczyna kipieć, przelewać się do ognia i jest pożar gotowy. Zasuwam czém prędzéj jeden szyber pieca po drugim, długi płomień bucha z pieca na kilka łokci w górę i otacza piec cały. Robota znowu stracona, pomyślałem so-

bie, i już chciałem chwycić za naczynie z piaskiem, gdy dziewczyna ze śmiechem przykryła nagle sitem jakby czapką cały wierzch pieca razem z kociołkiem. Odrazu staliśmy się panami ognia, płomień był jakby odcięty i ratunek dalszy stał się łatwym. Przez przykrycie następnie sita mokrem płótnem ustało całe niebezpieczeństwo, a włościanka rzekła do mnie po małorusku: „Panie! wdajecie się z bisem (djabłem) i robicie czary (chemiczne prace), a nie umiécie ognia gasić."

Czytając obecnie w jedném z pism technicznych o gaszeniu siatką drucianą palących się tłuszczów i żywic przypomniało mi się moje powyższe doświadczenie. Przypadek chciał, że częste zapalanie się nafty, benzyny, ligroiny i ciężkich olejów naftowych nie zdarzyło mi się więcéj, abym był mógł odkrycie mojéj pomocniczki wypróbować. Uczynił to kto inny, mianowicie autor donoszący w piśmie techniczném o skuteczności kratki drucianéj w tłumieniu ognia płonących tłuszczów lub żywic. Przyczyna skuteczności kratki jest bardzo prosta. Kratka metalowa, przyłożona do płomienia studzi go mocno. Na téj zasadzie zbudował *Davy*, chemik angielski swoją lampę bezpieczeństwa dla górników. Siatka metalowa, dotykając się płomienia odcina go; płonące ciało pali się pod nią, ale nad nią ustaje płomień i dalsze gaszenie staje się łatwém.

J. B. Rogojski.

ROZMAITOŚCI.

— **Nowe dzieła.** *Rady dla zaczynających hodowanie jedwabników*, przez p. Fryderyka de Boulenois (wydanie drugie). Dziełko to, nader przystępnie napisane, może posłużyć za dobrego przewodnika dla tych, którzy chcą się z zamiłowaniem hodowli jedwabników poświęcić. Przedmiot jasno i zwięźle jest w niém opracowany, z wyraźną zachętą do zjednania zwolenników do téj gałęzi kultury. Każda czynność poparta dowodami i rachunkiem, łatwo wrażającemi się w pamięć. I z wielu innych zalet dziełko to zupełnie jest dostateczne nietylko dla początkujących, ale służyć może wybornie za skazówkę i przypominki dla obznajmionych już z hodowlą jedwabników. Dla księży proboszczów i wiejskich nauczycieli, dla ogrodników i kolonistów a nawet dla pań i panien wiejskich, jedwabnictwo przedstawia miłe, zajmujące i korzystne zajęcie, dozwalające chwile swobodne od zajęć obowiązkowych zapełnić użytecznie dla siebie i dla młodszéj braci, przez dawanie jéj przykładu i zachęty do pracy, najskuteczniéj wpływającéj na umoralnienie obyczajów i pomnożenie dobrobytu. Dwadzieścia drzew morwowych wysoko-piennych jest w stanie wyprodukować do 2 centnarów kokonów, przy bardzo niewielkim nakładzie i pracy. Jakżeż więc pożytecznie zużytkowane być mogą, szczególniéj szczupłe sady plebańskie i szkółek wiejskich, przeznaczając je na plantacje morw i akacji, dostarczających obfitego pokarmu dla jedwabników i pszczół — inwentarza najobficiéj zwracającego koszta i trudy na pielęgnowanie jego wyłożone.

— **Pisma prowincjonalne.** Z prawdziwą pociechą widzimy coraz żywiéj budzący się na prowincji ruch piśmienniczy. *Kurjer Lubelski*, od lat czterech istniejący, pierwszą położył na tém polu zasługę; pokazał bowiem, że pismo perjodyczne, wydawane w takiém mieście jakiém jest Lublin, nietylko istnieć, ale nawet i dla samego miasta i dla dalszych jego okolic bardzo pożyteczném stać się może. Kurjer ten powabną postacią zewnętrzną mile wpadającą w oko, podaje oprócz wszelkiego rodzaju wiadomości miejscowych, zajmujących i potrzebnych dla samych mieszkańców tego starożytnego grodu i dla dalszych życzliwych mu czytelników, streszczone wiadomości wszystkiego, co ogół obchodzić może. Dawniéj tylko z rzadkich, amatorskich korespondencji, przesyłanych do téj lub owéj gazety Warszawskiéj, dowiadywano się o tém, co się w Lublinie dzieje; teraz mamy stałe i zawsze świeże sprawozdania o wszystkiém, co nas ztamtąd rzeczywiście obchodzić powinno. Dzięki za to, a dzięki tém serdeczniejsze za danie przykładu i powołanie do życia drugiego podobnegoż pisma „*Kaliszanina*", które z początkiem roku 1870, podobnie jak Kurjer Lubelski, dwa razy w tygodniu, wychodzić zaczyna. Kaliszanin nie ustępuje ani w formie, ani w treści swemu pierworodnemu bratu, kto wié nawet, czy, przy młodszych siłach i umiejętnéj redakcji nie przywyższy swego Lubelskiego poprzednika? W feljetonie Kaliszanina znajdujemy, nie żadne tłomaczenia, ale oryginalną pracę jednego z naszych powieściopisarzy. Już i ten wybór jest dobrą gwarancją znanych nam zkąd inąd zdolności redaktora „Kaliszanina". Szczęść Boże tak starszemu jako i młodszemu braciom!

Mamy także pod ręką dwa doszłe do nas kalendarze prowincjonalne: *Kalendarz Lubelski*, który, przed dwoma urodzony laty naśladuje lepsze kalendarze warszawskie i *Pamiętnik Kielecki* któremu autorka (Lilijana) przy zachowaniu formy kalendarskiéj, poważniejszą, nie wiemy dla czego? *Pamiętnika* nadała nazwę. Oba te wydawnictwa odpowiadają, w zupełności swemu, przeważnie kalendarskiemu a w części, belletrystycznemu i informacyjnemu zadaniu.

— **Przysmaki ogryzkowe.** W podziemiach targowych w Paryżu znajduje się szczególniejszy rodzaj przemysłowców, których język urzędowy zwie handlarzmi mięsiwa. Towar, sprzedawany przez nich, zwano dawniéj „okruchami kuchennemi", ale że wszystko pod maską obudza większe zajęcie, więc ochrzcono te przysmaki nazwą „arlekinów". Ten artykuł handlowy składa się z wszelkiego rodzaju potraw, a raczéj ogryzków, które ci przemysłowcy zbierają ze stołów bogaczy, ministrów, posłów, traktjerników i hoteli. Co rano objeżdżają oni lub ich ajenci z małym, szczelnie zamkniętym i tylko dla przypuszczenia powietrza w dziurki opatrzonym wozem, wszystkie kuchnie, z któremi zawierają umowy. Wszystkie resztki uczt z dnia poprzedniego wrzucane bywają do wozu, i tak dostają się na targowicę do straganu. Tu przebiera każdy handlarz troskliwie tę bezimienną massę, w któréj rozmaite sosy pomieszane są z pieczystem, jarzyna z leguminą i t. p. Co tylko ma jaki taki pozór okazalszy, odkładają starannie na bok, czyszczą, przyrządzają i ustawiają na talerzach. Rozumié się, że ten proces czyszczenia i odświeżania, odbywa się w ukryciu, bo nigdzie nie dałoby się z większą słusznością niż tu zastosować zdanie: że nie trzeba zaglądać w palce kucharzowi. Gdy przybieranie zostało ukończone, gdy sprzeczne żywioły ile możności już pogodzono i poważne z delikatném troskliwie połączono, ustawiają wszystko tak zręcznie, że najlepsze kawałki wpadają w oko i obok powabnéj piramidy sałaty, zaostrzają apetyt przechodniów. Wszystko sprzedaje się szybko i nie zdarzyło się jeszcze nigdy, by handlarz gotowanego mięsiwa nie wypróżnił straganu swego do południa. Wielu nieszczęśliwych, tudzież zatrudnieni w przedsionkach targowych rzemieślnicy, przenoszą ten szczególny rodzaj potraw nad pożywniejszą ale droższą strawę, jakiéj dostarczają domy gościnne i garkuchnie. Za dwa lub trzy sous mogą zjadać tu wszelkie przysmaki, i jakkolwiek może się to dziwném wydawać, mają ci handlarze swoich stałych stołowników, co przypisują zgodnie sławnym kuchniom, z których pobierają swój towar. Bogaci, ale skąpi ludzie przychodzą tu pokryjomu zaspokajać swój głód, łatwo ich poznać po ich trwożliwém i badawczém wejrzeniu; drwią też z nich pocichu handlarze, ale ponieważ płacą, usługują im bardzo skrzętnie. Wszystko tedy, cokolwiek wygląda nieco powabniéj, znachodzi konsumentów; a jeżeli po dozwalanym dość chętnie wyborze, pozostaną je-

szcze jakie trudne do zbycia resztki, idą takowe na uczty dla psów zbytkowych. Drogie kudłate pinczery i tak ulubione dziś charty mają tu swoich uprzewilejowanych liwerantów; codzienie odbywają troskliwe ich panie podróż do tych straganów, by kochane te zwierzęta mogły zjeść pożywny a nie drogi obiad. Kości bywają starannie składane i sprzedawane fabrykantom buljonu. „Rzemiosło to — powiadają — przynosi plon złoty";— i można temu wierzyć, gdyż znajdzie się w Paryżu niejeden taki handlarz arlekinów, który przed kilkunastu laty rozpoczynał swój zawód jako ubogi Łazarz zbieraniem okruszyn z pańskich stołów, a dziś ma do 10,000 fr. rocznego dochodu i żyje wygodnie i bez obawy, by nie miał dostać się za to do królestwa niebieskiego.

— **Dokąd wiedzie moda.** Na pociechę zwolenniczek mody (któremi wy pewno nie jesteście, szanowne czytelniczki nasze), możemy przytoczyć zdanie pewnego biskupa amerykańskiego, który, jadąc na sobór do Rzymu, zaproszony został w Paryżu na wieczór przez pewną znakomitą damę.

Szanownéj gospodyni wpadło dopiero za przybyciem sędziwego prałata na myśl, że może sprawić na nim niemiłe wrażenie widok samych wygorsowanych piękności. Pośpieszyła więc na przeciw niemu i przepraszała go za to: że może będą go razić zbyt świeckie kostiumy, jakie ujrzy w jéj salonie.

Biskup uśmiechnął się, spojrzał do koła po obnażonych pięknościach i rzekł: „Bądź pani spokojną o to; wszak wiész, że przybywam z kraju, zamieszkanego przez dzikich ludzi".

HUMORESKA.



(W więzieniu).

— A pan za co?
— Za podrabianie weksli
— Tak nieartystycznie fabrykowałeś.
— Nie,—zanadto artystycznie.

— **Złe skutki maszyny do szycia.** Dzienniki niemieckie dowodzą obszernie złych skutków *maszyn do szycia*, i to w tak przekonywający sposób, iż im niepodobna zaprzeczyć. Maszyna do szycia dowodzi nam jaśniéj jak inna jakakolwiek maszyna rzetelności tego mechanicznego twierdzenia:

„*Co się zyskuje na czasie, traci się na sile*", co także przy *skorobiegach* (Velocipedach) zastosowanie znajduje. Wykonywa się w prawdzie robotę za pomocą maszyny daleko prędzéj aniżeli igłą, ale do poruszania téj maszynki daleko więcéj siły użyć trzeba, aniżeli szyjąc igłą. Nie bez przyczyny zmieniają się konie w kieracie co 3, a w Omnibusie co dwie godziny, ale od biednych dziewcząt wymagają aby codziennie 10, 12 lub wiecéj godzin poruszały nogą pedał maszyny, która to praca jednostajna i regularna nadzwyczaj szkodliwie na cały ich organizm działa. Lekarz franczuki p. *Gibout* był pierwszym, który w sprawozdaniu swojém do Towarzystwa lekarskiego w Paryżu energicznie i stanowczo potępił tego rodzaju pracę. W czasie pobytu jego w szpitalu S-go Ludwika, miał w ciągłéj kuracji pracownice, których zdrowie kompletnie zrujnowaném było maszynami do szycia. Można wprawdzie częściowo zaradzić złemu, to jest podtrzymywać siły pracownic dobrą żywnością, ale byłoby najlepiéj poruszać maszynkę do szycia jakim innym motorem, np. elektrycznym, czego przykład widzieliśmy na ostatniéj Paryzkiéj wystawie—gdzie Inżenier Cazal badzo trafnie zastósował i połączył elektrycznego motora z maszynką do szycia; — motor ten wykonywał siłą, równą sile pracownicy, poruszającéj maszynkę za pomocą pedału i bardzo mało miejsca zabierał. Przez zaprowadzenie elektrycznych motorów przy maszynach do szycia zaradzi się w zupełności złemu, bo ochroni się tysiące biednych pracownic od utraty zdrowia, tego jedynego ich kapitału, od którego, mimo zabiegów, lichy i tak otrzymują procent. — P. Aleksander Makowiecki, który niedawno w *Gazecie Polskiéj* podniósł kwestję pracy robotników —nie zaniedba również i biednych szwaczek wziąść pod rachunek.

MYŚLI i ZDANIA.

— Kobieta powinna mieć cnotę w sercu, skromność na czole, łagodność na ustach, a robotę w ręku.

— Czyń dobrym i złym dobre, mając to na względzie,
Że i pierwszych przybędzie i drugich ubędzie.

— Lubić czytać, jest to kochać naukę, a kto kocha naukę, będzie mądrym i szanowanym.

— Przy modlitwie należy być cichym, spojkojnym i pełnym poszanowania, bo to rozmowa nie z człowiekiem lecz z Bogiem.

— W zabawie bądź wesołym a przy nauce pilnym, bo zabawę wesołość umila, a naukę tylko pilność zdobywa.

— Skromność w młodzieńcu wszystkim się podoba i jedna dla niego serca starszych.

Wydawca, Mieczyński Adam.—w Druk. J. Jaworskiego.—Za pozwol. Cenzury Rządowéj.—Redaktor: Oskar Stanisławski.